

# Rozdział 5

Blayne wjechała na wrotkach do biura. Na jej biurku stał wielki kubek z jej ulubionego miejsca i pudełko najpewniej pełne pączków bez cukru z piekarni ze zdrową żywnością dwoje drzwi w dół. Miejsca gdzie Gwen powiedziała że nie pójdzie, choćby jej przyłożono pistolet do głowy bo nienawidzi „tych przeklętych hipisów.” W umyśle Gwen, każdy kto nie jadł mięsa był hipisem. Ale Blayne chodziła do tej piekarni po pyszne skarby bez cukru.

Nie zajęło jej długo zrozumienie, że cukier i/lub kofeina w jej organizmie to bilet w jedną stronę do więzienia. Dla większości ludzi to napoje wysokoprocentowe albo twarde narkotyki, ale Blayne miała dodatkowe problemy, więc unikała wszystkiego z tego jak tylko to było możliwe, szczególnie w dni robocze.

Gwen siedziała na swoim biurku i Mitch, na wpół przebudzony i pewnie niezbyt szczęśliwy z bycia w ich biurze tak wcześnie, siedział na jedynym z krzeseł dla gości jakie mogli zmieścić w pokoju.

- Cześć, Blayne – Gwen się do niej uśmiechnęła. – Jak leci?

- Świetnie – wymamrotała, trzymając schyloną głowę. Czy rozkoszowała się faktem, że jej przyjaciółka czuła się okropnie po tym co powiedziała?

Umm... Tak!

- Posłuchaj, Blayne – Gwen wstała i podeszła, gdy Blayne upuściła plecak na podłogę i zaczęła się przez niego przekopywać do ubrań roboczych. – Naprawdę mi przykro za wczoraj. Oczywiście, że Babes nie zmienią cię, nie zastąpią ani nic. Cherry na to nie pozwoli.

Blayne wzruszyła żałośnie ramionami, dalej wyciągając rzeczy i próbując znaleźć swoje bojówki.

- I Mitchowi też jest przykro. Prawda, Mitchell? – zapytała Gwen przez zaciśnięte zęby.

- Co? Och, tak. Tak. Przepraszam, Blayne. Powinienem był się zamknąć.

- Nie ma sprawy – powiedziała Blayne wstając.

- Jest – odparła Gwen. – Wiesz, że jestem wobec ciebie lojalna, Blayne. I myślę, że jeśli razem potrenujemy do mistrzostw, poza treningami drużyny, będzie w porządku. Będzie lepiej niż w porządku. Będzie świetnie.

- To nie będzie konieczne.

- Daj spokój, Blayne. Wiesz, że nie mam nic przeciwko i to też będzie dobre dla mnie. Możemy trenować rano przed pracą.

Kradnąc od Novikova, Blayne powiedziała:

- Nie jestem pewna czy mogę to wpasować w mój obecny harmonogram.

- Harmonogram? Jaki harmonogram? Czy ty kiedykolwiek miałaś jakiś harmonogram poza tym roboczym jaki dają ci co rano?

- Mówię o harmonogramie jaki mam teraz, który pozwala mi trenować z Bo Novikovem. Rano, przed pracą. Wiesz, żeby pomóc mnie wzmocnić, żebym nie była takim słabym ogniwem w drużynie.

Czując się naprawdę zadowolona z siebie i próbując tego nie pokazać, Blayne wstała z roboczymi ubraniami w rękach. Gwen zamrugała, zdezorientowana, podczas gdy Mitch miał otwarte usta, a jego oczy były rozszerzone.

- Muszę się przebrać. Mam tę robotę u fryzjera przy Dwudziestej Ósmej. Wzmocnienie zlewów, tak mi się wydaje – Skinęła, spojrzała pomiędzy rodzeństwem i powiedziała. – Okej, do zobaczenia.

Wyjechała na wrotkach z biura i wjechała do łazienki na pierwszym piętrze. Zanim przebrała się w ubrania robocze, uśmiechała się od ucha do ucha.

Po prostu nic nie mogła na to poradzić. Od dawna nie miała takiej frajdy.

Chichocząc do siebie, Blayne wyszła z łazienki, wrzasnęła odrobinę gdy Mitch chwycił ją za ramię i zaciągnął ją do jednego z pokoi konferencyjnych na pierwszym piętrze. Choć nie byli tu sami. Teraz wmieszane były dzikie psy. Oczywiście, to w ich budynku B&G Hydraulika miało swoje biurko, ale – co ważniejsze – kochała gdy dzikie psy były wmieszane. Wszystko przyjmowało całkiem nowy poziom szaleństwa gdy tak było!

Mitch zaciągnął ją na środek pokoju zanim ją puścił.

- Straciłaś rozum? – zażądał odpowiedzi.

- Musisz być bardziej szczegółowy.

Jess, jedyna siedząca, trzymając jej wielki brzuch daleko od krawędzi stołu konferencyjnego, opuściła głowę i zaczęła pocierać nos.

- Mitch... - powiedziała Gwen, starając się szybko to skończyć, ale Mitch miał jazdę a nie było jeszcze dziewiątej rano. Uniósł rękę by uciszyć siostrę.

- Blayne. – I wymówił jej imię ze wszystkimi typami zmartwienia. – Mówimy tu o Bo Novikowie „Maruderze.” On nikogo nie trenuje.

- Poza mną.

- Tak, skarbie. – Położył jej dłoń na ramieniu i mała część niej – mała część kontrolowana po wielu zajęciach z kontrolowania gniewu – chciała mu odgryźć palce. – Ale za jaką cenę?

- Pomogę mu.

- Z czym? Orgazmami?

Blayne zwinęła dłoń w pięść pod ubraniami, które ciągle trzymała. Musiała wbić palce w dłoń żeby się nie roześmiać. Gdy wiedziała że się kontroluje, odparła:

- Nie powiedział tego wprost, ale była wzmianka o porannych drinkach proteinowych. Powiedziałam: „Mam nadzieję, że lubisz truskawkowe!”

- Blayne!

Machnęła ręką na jego zmartwienie.

- Posłuchaj, właściwie on jest całkiem miły.

- Widzisz, już mnie martwisz, Blayne. Maruder nie jest miły. O nim nasza niania powiedziałaby, że jest skurwysynem. Jest skurwysynem na lodzie i poza nim, z tego co słyszałem.

- Słyszałem, że kiedyś zrzucił faceta z budynku – dodał Phil z powodu, którego Blayne nie mogła zrozumieć.

- Będziemy w podziemiu Centrum Sportowego – wyjaśniła, sprawiając że Jess i Gwen parsknęły.

- Słyszałem, że rzucił się na fana z kijem hokejowym – dorzucił Danny. – Mam na myśli kij hokejowy. Kij hokejowy nie jest eufemizmem dla penisa.

Tak! Kochała dzikie psy!

- Możecie się obaj zamknąć? – parsknął Mitch.

- Pilnuj języka, kocie – ostrzegła Sabina. – Albo ci go utnę.

- Nie rozumiesz, Blayne – Mitch otoczył ręką jej ramiona. – Jesteś jak pozamałżeńska siostra, której nigdy nie chciałem.

- Dzięki?

- I chcę zapewnić ci bezpieczeństwo, a nie żebyś była wykorzystywana seksualnie przez gwiazdy sportu. – Przyciągnął ją blisko, odcinając jej możliwość oddychania. – Novikov ci nie pomoże, Blayne. Wykorzysta cię.

- Ale Gwenie powiedziała, że powinnam zrobić wszystko co możliwe jeśli chodzi o drużynę.

- Jestem pewny, że nie miała na myśli...

- Jeśli reszta z nas – wcięła się Gwen – może poświęcić się dla drużyny, uważam że Blayne też może.

Jess musiała odwrócić krzesło tyłem do Mitcha, a on wyglądał jakby za chwilę miała mu eksplodować głowa.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Nie wrzeszcz! – powiedziała Gwen. – Nie ma potrzeby wrzeszczeć. Blayne zrozumiała co musi zrobić. Dla drużyny. Prawda, Blayne?

- Racja!

- Teraz chodź. Mamy robotę.

- Czekać chwilę! – wrzasnął Mitch. – Nie możecie po prostu odejść! Ta rozmowa nie jest skończona!



Ulrich Van Holtz sturlał się z łóżka, drapiąc się po głowie i ziewając, wyszedł z sypialni, przeszedł korytarzem i wszedł do salonu, chwytając pilota ze stolika. Poranne informacje i świeża kawa pozwolą mu rozpocząć dzień, tak by mógł stawić czoła pośpiechowi w porze lunchu w restauracji i treningowi hokejowemu z drużyną tej nocy.

Mając przycisnąć guzik włączający różne sprzęty z jego kina domowego, zamiast tego Ric podskoczył, ledwie utrzymując śliski przedmiot w dłoni, gdy usłyszał:

- Chciałeś mnie zobaczyć?

Ric zamknął oczy i poczekał aż bicie jego serca zwolni. Jak z wszystkimi szczeniakami Van Holtz, Ric od dziecka był trenowany w byciu świadomym trzech rzeczy: Gdy filt mignon był doskonale średnio wysmażony, gdy była doskonała pora na sprzedanie akcji i gdy drapieźnik znajdował się w jego domu. Jak dawały znać doskonałe opinie o jego restauracji i finansowe port

folio, Ric opanował pierwsze dwie. I zawsze miał wrażenie że opanował też trzecie.

Aż spotkał Dee-Ann Smith.

Spotykał wcześniej „przyczajone typy” jak lubiła ich nazywać Blayne, niemal każdego dnia, ale żadne nie miało porównania do trzydziesto-czteroletniej wilczycy, która nie pozwalała takim szczegółom jak tytanowe drzwi, ciężko uzbrojeni strażnicy i zabójcze lasery przeszkodzić sobie gdy chciała wejść tam gdzie chciała. I skoro jego apartament na szczycie wieżowca Van Holtz miał pomniejsze wersje tego poziomu ochrony, zgadywał że nie powinien już być zaskoczony jej nagłymi pojawieniami się w jego domu.

Czując się spokojniej, Ric obrócił się do Dee-Ann. Jak większość zmiennokształtnych, spał nago, ale Dee-Ann nigdy nie zdawała się zauważać, więc nie zawracał sobie głowy wkładaniem ubrań. Jak długo by go pytano, podejmowała to ryzyko jeśli pokazywała się w czyimś domu niezapowiedziana.

- Chciałem cię zobaczyć... dwa dni temu.

- Byłam zajęta. Czego chcesz?

- Chciałem sprawdzić...

- Pudła?

- Wolę nazywać ją Blayne, ale tak.

Mierząca sześć stóp i dwa cale wilczyca wepchnęła ręce do przednich kieszeni dżinsów. Na zewnątrz było zimno, środek stycznia, co znaczyło że dżinsy Dee-Ann, T-shirt z Coors i kowbojskie buty zmieniły się na dżinsy, dres z Led Zeppelin, kowbojskie buty i za dużą skórzana kurtkę, z „EGGIE” wyszytym na przedzie, w przypadku gdyby niemal mrożące temperatury przechłodziły Dee.

- Tracimy na nią czas.

- Tak. Mówiłaś to wcześniej. Wiele, wiele razy. Ale jak długo chodzi o Grupę i o mnie, jest pierwszym celem.

- Nikt nie ruszy tej dziewczyny – Dee przewróciła oczyma. – Nie byłaby dobra nawet do rozplódu.

Jak bardzo Ric czcił ziemię po której stąpała Dee-Ann Smith, ciągle odmawiał przyjmowania jej bzdur w tej kwestii.

Kilka miesięcy wcześniej, Dee-Ann odkryła, że imię Blayne zostało sprzedane na ring, który w walkach używał hybryd. Przez ostatnie pół roku, znaleźli więcej niż dwa tuziny ciał na całym obszarze tri-state. Niektóre z nich ciągle były w zmienionej formie, niektóre w ludzkiej, wszystkie przeżute i wyplute. Kilka ciągle nosiło skórzane obroże, kompletne z kolczatką. Kilka umarło podczas walk; inne zostały zabite po nich. Wszyscy byli samcami, ale samice zostały porwane.

Niektórzy zakładali, że zostały porwane do rozrodu, ale Ric nie sądził, żeby to było takie proste. To nie było jak rozród pitbullów albo rotwailerów, gdzie szczeniaki wyrastały na psy do walki w rok lub dwa. Szczenięta zmiennokształtnych nie byłyby użyteczne przez lata, ich zdolność przemiany nie do wykorzystania aż do osiągnięcia dojrzałości. Jedynymi zdolnymi do walki w młodym wieku były hieny. Byli jedynymi zmiennokształtnymi rodzącymi się z kłami, ale też młodzi właśnie z tego powodu byli trzymani blisko domu. I nikt z pracującym mózgiem nie próbowałby wdrzeć się do nory hien i porwać parę młodych. Absolutnie nikt nie był aż tak głupi.

Nie, Ric nie sądził, żeby chcieli samice-hybrydy do rozrodu. Miał przeczucie że chcieli ich do walk, skoro drapieżniczki z natury były bardziej niebezpieczne od samców. Musiały być. Często chroniły nie tylko siebie ale i młode.

I mała fortuna została dana ścierwu, który sprzedał nazwisko Blayne, więc Ric nie sądził żeby łatwo zrezygnowali.

- Wiesz, że gdy się na to pisałam, Niels Van Holtz powiedział, że nie będę pod kontrolą.

- Nie kontroluję cię, Dee-Ann. Mówię ci byś wykonywała swoją robotę. Nie mówię ci jak to robić, po prostu to robić. Ty i Wuj Van zdecydowaliście się nie mówić Blayne że jest celem, ale to znaczy, że ty i drużyna musicie pracować ciężiej żeby ją chronić, bo nie wie że sama musi uważać.

Właściwie, Niles Van Holtz, Wuj Van, był jego starszym kuzynem, ale w tej chwili nie było to ważne.

- Ułatwię ci to. Chcę regularnych uaktualnień przy Blayne. Gdzie jest, co robi i z kim to robi. Chcę żebyś wykonywała swoją pracę, Dee-Ann. To takie proste.

Doskonałe pełne usta zacisnęły się lekko, nim odpowiedziała.

- Jak chcesz – To był jej miły południowy sposób powiedzenia: „zrobię to, ale pieprz się,” ale Ric dostał czego chciał, więc mógł zignorować ton.

Znów obrócił się do kina domowego i użył pilota by je włączyć.

- Chcesz śniadanie? – zaoferował, gotowy złagodzić jej gniew jedzeniem. Ale gdy obejrzał się przez ramię, już jej nie było.



- Na trzy. Raz, dwa... trzy.

Gwen i Blayne pociągnęły, otwierając wypaczone drzwi. Uderzył je zawilgocony zapach pleśni i zniszczonej hydrauliki a para odwróciła głowy.

- Okej – powiedziała Gwen gdy znów mogła mówić bez krztuszenia się – może powinniśmy były słuchać mojej matki o dołączeniu do rodzinnego interesu.

Blayne się roześmiała.

- Ten zapach nie jest taki zły, księżniczko.

- Jesteś taką psowatą jeśli chodzi o zapachy.

- Przyjmę to jako komplement.

Gwen ruchem głowy wskazała korytarz za nimi.

- Ktoś w pobliżu?

Blayne spojrzała, potem pociągnęła nosem.

- Nie.

Bez widowni, Gwen weszła do mrocznego pomieszczenia bez używania latarki, którą ze sobą miała. Po co marnować baterię gdy bez latarki widziała doskonale?

Gwen znalazła zniszczoną wilgocią ścianę, która była tuż pod miejscem gdzie salon fryzjerki miał zlewy.

- Znalazłam.

Blayne skinęła.

- Tak. To wygląda długoterminowo, co?

- Nawet bardzo – Gwen upuściła torbę z narzędziami na podłogę i sięgnęła do niej by wyciągnąć młot. Blayne zrobiła to samo, przyjaciółki stały obok siebie. Gwen zaczęła, uderzając młotem w ścianę. Gdy się cofnęła, Blayne powtórzyła ruch. Kontynuowały aż zniszczyły niezłą porcję ściany, ujawniając stare rury które przeciekały w kilku miejscach.

- Okej – powiedziała Gwen, przyglądając się zniszczeniom. – Teraz torturowanie Mitcha odkładając na bok, o co naprawdę chodzi z Novikovem?

Blayne zaśmiała się lekko.

- Tak jakby wrobiłam faceta.

- Ty, Blayne? – odparła Gwen z drwiącym szokiem. – Nigdy!

- Cóż, stał tam, tak osądzając derby i mnie! I doszłam do wniosku, dlaczego miałby mi nie pomóc, skoro to on wpakował mnie w tę sytuację?

- A jak to zrobił?

- Przez bycie wszystkim przeciwko czemu jestem jeśli chodzi o sporty i...

- Proszę, przestań. Nie chcę znów wysłuchiwać tej mowy.

- Hej, popatrz!

- Blayne, zaczekaj...

Za późno. Blayne sięgnęła w dziurę i wyciągnęła coś oddychającego.

- Skunks!

- Wygląda jak wielki szczur.

- To nie szczur. To skunks. To wyraźne, że nigdy nie byłaś na Południu.

- A co tam niby jest poza pogawędkami i wielkimi szczurami nazwanymi skunksami?

Uśmiechając się szeroko, Blayne podrapała pod głową obrzydliwie wyglądającą rzecz.

- Jest uroczy, prawda?

- Ani odrobinę. I naprawdę wszystko będzie w porządku z tobą i Novikovem? To znaczy, przynajmniej raz, Mitch miał rację. Maruder ma głównianą reputację.

- Mogę się nim zająć – parsknęła Blayne.

Gwen nie miała pojęcia czemu Blayne była tego taka pewna, ale wiedziała że nie było sensu w kłóceniu się o to. Blayne mogła być niewiarygodnie uparta gdy się zaparła. I, do diabła, jeśli gracz hokejowy mógł dać Blayne parę użytecznych wskazówek, Gwen nie mogła się skarżyć. Wilkopies miał potencjał, ale drużyna nie mogła dalej ignorować, że o ile Blayne nie zostanie postawiona pod ścianą – coś co czyniło ją zabójczą – była zbyt cholernie miła.

I ze wszystkich rzeczy jakie Gwen słyszała o Bo Nivikovu przez lata, nigdy nie słyszała, żeby użyto słowa „miły.”

Blayne zmarszczyła brwi.



- Wydaje się okropnie mały. Może powinnam go nakarmić.

Nakarmić go? Każdy inny drapieżnik pomyślałby o zjedzeniu go. Ale Gwen wiedziała lepiej niż powiedzieć to na głos, bo to prowadziło do łez i histerycznych krzyków: „Jak mogłaś to choćby zasugerować?” Nie w nastroju na takie bzdury, zaferowała:

- Może to dziecko, albo coś.

- Tak sądzisz? – Blayne snów pochyliła się ku dziurze.

- Blayne, proszę, bądź ostrożna. Pamiętasz, ostatnim razem...

- Borsuk!



- Au! – Blayne spojrzała groźnie na wilczycę-pielęgniarkę stojącą za nią, operującą pod skórą pod jej prawą łopatką. – Boli! – parsknęła.

- Więc może, geniuszu, nie powinnaś wdawać się w walki ze szczurami. Nie potrzebowałabyś teraz tego, żeby zapobiec zakażeniu.

- To był borsuk – wycedziła Blayne, mocno zaciskając zęby. – Nie szczur. I skąd miałam wiedzieć, że w tej dziurze są i skunks i borsuk?

- Właściwie ile to już razy? – parsknęła wilczyca przyciskając tłuk strzykawki. – Skończyłaś po złej stronie walki z borsukiem?

- To nie moja wina. To wina borsuków. Uwzięły się na mnie. Wszystkie. Nienawidzą mnie.

Teraz pielęgniarka stanęła przed nią. Blayne nienawidziła tej kobiety, gdy nienawidziła tak niewielu.

- Borsuki... cię nienawidzą? – zapytała tym tonem, który sprawiał, że Blayne chciała rozedrzeć jej gardło.

- Tak.

- Aha. Rozumiem czemu zawsze masz aktualne szczepienia na wściekliznę. Jesteś chodzącą katastrofą.

- To ma być grzeczne? Jestem pewna, że nazwałabym to niegrzecznym.

Blayne nie rozumiała czemu zawsze gdy tu lądowała, musiała użerać się z Siostrą Mengele.

Nie wiedziała czy wilczyca tak bardzo nienawidziła psów czy ogólnie hybryd, ale ich rozmowy ostatnio stały się wrogie.

- Czemu właściwie nadal tu jesteś, przybłądo? – zażądała odpowiedzi Pielęgniarka Zabawa. – Nie musisz błagać o żarcie czy co?

Gdy jej dobra natura zniknęła, Blayne odparła:

- To prawdziwy rozmiar twoich uda czy masz specjalne spodnie żeby odwracały uwagę od twojej twarzy?

Kły wystrzeliły z dziąseł i dwie psowate warknęły i parsknęły na siebie aż niedźwiedź wszedł do pomieszczenia.

- Co się, do cholery, dzieje?

Siostra Śmierć cofnęła się o krok.

- Nic, pani doktor. Ale mamy ludzi potrzebujących pokoju i ktoś nie wychodzi.

- Zgaduję, że ten ktoś to t.y – Lekarka wskazała korytarz. – Potrzebują cię w szóstce.

- Tak, pani doktor.

Wilczyca spojrzała groźnie a Blayne zaśmiała się drwiąco.

Lekarka uniosła brwi na Blayne, gdy Siostra McSuka wyszła.

- Nie mogę was dwóch zostawić na dwie sekundy.

- Ona zaczęła!

Doktor Iona MacRyrie, starsza siostra Locka i zdumiewająca niedźwiedzica, potrząsnęła głową i się roześmiała.

- Mówisz to za każdym razem. – Podkładając dłoń pod podbródek Blayne, uniosła jej głowę. – Szczerze, Blayne. Szczur to zrobił?

- To był borsuk.

- Borsuki powróciły jak widzę. Przez chwilę były to... co to było?

- Wiewiórki.

- Ach, tak. Wiewiórki chciały cię dorwać.

- Tylko jedna. Ale był przebiegły... i wredny.

- Może, Blayne, i to tylko sugestia, powinnaś zostawić małe drapieżniki w spokoju o ile nie planujesz ich zjeść.

Iona obróciła głowę Blayne w jedną stronę, potem w drugą.

- Dam ci coś na te skaleczenia na twojej twarzy.

- Okej.

Blayne poznała lekarkę na małym przyjęciu wydanym przez rodziców Iony, gdy ogłoszono zaręczyny jej brata i Gwen. Ale naprawdę wtedy nie

rozmawiały, Iona spędziła większość czasu próbując kontrolować swoje młode. Chociaż tydzień później znów się spotkały gdy Blayne skończyła na ostrym dyżurze po bójce z dachowcem. Nie Iwicą, którą Blayne obrażałaby nazywając dachowcem... prawdziwym dachowcem. Iona nie była lekarzem na ostrym dyżurze gdy Blayne przyszła, ale neurochirurgiem w szpitalu, któremu zdarzyło się być w drodze do domu gdy minęła krwawiącą Blayne próbującą usunąć psychotyczne zwierzę ciągle przyczepione do tyłu jej głowy.

Dwanaście wizyt później, całkiem się zaprzyjaźniły.

- Zastrzyk na co dała mi Siostra Zabawa? – zapytała Blayne, miejsce zastrzyku ciągle bolało.

- Nie mam pojęcia. Może na tężec?

- Miałam to jakiś czas temu i to w udo. Wiesz, że wszystkie szczepienia mam aktualne. Powinno to być w mojej karcie.

- Jestem pewna, że to coś zapobiegawczego – Iona cofnęła się o krok. – Nie wiem o co chodzi wam dwóm, ale wątpię żeby chciała cię struć.

Blayne nie była taka pewna.

- Mogę iść?

- Tak. – Niedźwiedzica wyciągnęła z kieszeni bloczek z receptami i coś zapisała. – Połóż to na twarz po umyciu. Utrzymuj obszar w czystości.

Skaleczenia będą się leczyć wolniej, więc o tym pamiętaj.

- Okej – Blayne wzięła receptę. – Dzięki.

- Nie ma za co. Potrzebujesz podwiezienia do domu? Kończę za parę minut.

- Gwen mnie zabierze.

Iona złożyła ramiona na piersi i patrzyła w dół na Blayne, unosząc jedną brew.

- Opuściła mnie, prawda?

- Oskarżyła mnie o bycie „jednym z tych rzeźników” i nazwała szpital śmiertelną pułapką. Więc jak sądzisz, Blayne?

- Myślę, że gdy powiedziała „powiedzenia w przetrwaniu śmiertelnej pułapki” po wyrzuceniu mnie z ciężarówki, powinna zostać i upewnić się, że przetrwałam śmiertelną pułapkę!



Drużyna zjechała z lodu, dźwięk ich łyżew zmierzających ku szatni odbijał się echem na korytarzu.

Ric się zatrzymał i obejrzał na lodowisko. Potrzaskał głową i spojrzał na Locka stojącego obok niego.

- Jest pieprzoną maszyną – wymamrotał Lock. – Nigdy nie przestaje.

Nie wypowiedziano prawdziwszych słów.

Razem przyjaciele obserwowali jak hybryda dalej robiła okrążenia.

Patrzyli przez około pięć minut, potem obaj ruszyli do szatni i zostawili Bo „Marudera” Novikova samego na lodzie, dokładnie tam gdzie zdawał się należeć.